NUMER 9. DNIA 26. LUTEGO 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

AKWAFORTA

NAPISAŁ

WALERY ELJASZ RADZIKOWSKI.

Nie mając dotąd w polskim języku nazwy na ten rodzaj reprodukcji na miedzi, który po włosku aqua forta, a po niemiecku radirung się zowie, musimy się posługiwać obcem słownictwem.

Ogół ludzi łączy akwafortę ze sztycharstwem, czyli rytownictwem na stali lub miedzi i przez to nie rozumie, dlaczego rysunki akwafortowe napotyka się po wystawach sztuk pięknych wśród oryginalnych prac, a nie między drzeworytami, litografjami, stalorytami i t. p. na wystawach reprodukcyjnych.

U nas w Polsce nawet sami artyści i mecenasi sztuki więcej pojęcia o akwaforcie nie mają, niż przeciętna publiczność, uczęszczająca na wystawy sztuk pięknych. U kulturalnych narodów istnieją stowarzyszenia dla krzewienia i popierania akwaforty, w naszej Polonji, bardzo dalekiej jeszcze od tego wykształcenia, iżby sztuki piękne były potrzebą, a nie zbytkiem, wypada przynajmniej trochę rzucić światła na istotę i znaczenie akwaforty w sztuce.

Przedewszystkiem trzeba uwydatnić, że akwaforta jest własnoręcznym rysunkiem artysty (autografem), o tyle osobliwszym, że miejsce papieru zastępuje blacha metalowa, a ołówek do rysowania na niej używany, zamiast grafitu, ma wewnątrz pręcik stalowy.

Płyta owa jest z miedzi tak przysposobioną, że po niej artysta z wszelką swobodą rysować może, co i jak mu się podoba, poczem jego autograficzny rysunek utrwala się za pomocą kwasu i zdolnym się staje do odtwarzania więcej egzemplarzy, z których jednak każdy jest odmiennym.

I to należy się zaraz wyjaśnić, aby akwaforty nie uważano za robotę maszynową, jak przy wszystkich innych reprodukcjach.

Odbijanie akwaforty odbywa się w ten sposób, iż się całą powierzchnię blachy zarysowanej czarną farbą olejną powleka i tę umiejętnie dłonią ręki powoli ściera, zostawiając ją tylko w zagłębieniach kreskowych i na tych miejscach, które wedle woli artysty mają zatrzymać ton mniej lub więcej ciemny.

Na taką płytę przykłada się papier miękki, nieco zwilżony i wkłada między dwa walce drewniane, obracane korbą. Po przesunięciu płyty z papierem na drugą stronę otrzymuje się gotową odbitkę. To samo powtarza się za każdym nowym egzemplarzem, które zależne w zupełności od ręki zbierającej farbę, nie mogą być identycznemi.

Rytownictwo rzeczywiste, czyli tak zwane sztycharstwo jest odrębną umiejętnością, wymaga długiej i mozolnej nauki i nie może być uważanem za autograf, bo rytownik mając powierzony sobie do odtworzenia obraz, musi zastosowywać reguły rytownictwa do oddania tegoż w stalorycie. Jemu nie wolno ryć po blasze kresek dowolnych, tylko takie, jakie płyta metalowa znosi bez uszkodzenia powierzchni. Niewłaściwie ryte linje wytwarzają po krajach brzegi i toż samo na przecięciach się linij miedze, które wprawdzie odpowiedniemi narządkami dadzą się usunąć, ale pozostawiają ślady skaleczenia blachy.

Rylec przedstawia się jako sztabka stalowa jednym końcem ostro zaostrzona, w drugim opatrzona gałką drewnianą, która służy do oparcia narzędzia o dłoń. Rytownik, przytrzymując palcem

rylec, wodzi nim linje z dołu ku górze, do czego potrzebuje siły, gdyż rycie bruzdy w miedzi lub stali wywołuje opór równoważony za pomocą dłoni przez nacisk jej na trzonek rylca. Przy prowadzeniu tym sposobem kreski rylcem po blasze, tworzą się wiórka, które naturalnie odpadają na bok.

Powierzchnia blachy jasna, wypolerowana, błyszcząca bardzo, uwydatnia słabo wyryte już linje, że potrzeba nadzwyczajnego natężenia wzroku, by je dobrze widzieć i do nich z dalszą pracą się zastosować. Mistrzem w rytownictwie uznanym bywa ten, co jak najwierniej zdoła odtworzyć oryginał tak co do rysunku, jak i kolorytu, chociaż tylko jedną barwą i jedną linją dysponuje. Takie staloryty są zawsze drogie, gdyż należą do osobliwości. Zwykłe do tuzinkowych wydawnictw używane sztychy przedstawiają banalną manierę i nie mogą w dziedzinie reprodukcyjnej zajmować miejsca artystycznego. Są to prace rękodzielnicze, przemysłowe.

Rytownictwo na stali lub miedzi wymaga oprócz uzdolnienia indywidualnego długiej nauki, przyswojenia wiadomości specjalnych i nadzwyczaj zdrowego wzroku. Przytem rytownik musi być artystą, bo inaczej nie umiałby pojąć właściwości oryginału, ale w jednej osobie niepodobna mieścić dwóch rodzajów sztuki. Władanie rylcem, a pędzlem bardzo mało ma z sobą styczności, a nawet rysunek malarski ze sztycharstwem nie chodzi w parze.

Przeciwnie akwaforta nadaje się do uprawiania każdemu artyście, wymaga przyswojenia sobie technicznej strony tejże po niedługiej praktyce i pozostawia mu wszelką swobodę w ulubionym przez niego kierunku. Od dawna najznakomitsi artyści w Europie akwafortą się zajmowali, a niektórzy doprowadzili ją do mistrzowstwa, jak np. Rembrandt.

Polska szczyci się w dziedzinie rytownictwa powszechnego wybitnie znanymi w świecie rytownikami, ale w akwaforcie nie znalazła przedstawicieli należytych. Artyści malarze niektórzy częściowo się nią zajmowali, więcej amatorzy, a z nich najszerzej znani są w akwaforcie Bronisław Zaleski i Józef Kraszewski. Bardzoby się przysłużył narodowi, gdyby ktoś zabrał się do wytworzenia kollekcji specjalnej akwafort wykonanych przez Polaków, poczem dałoby się coś o tem napisać; bo tak, jak się dziś ta umiejętność przedstawia u nas, niepodobna nabrać rzetelnego wyobrażenia. Po prywatnych zbiorach ukrywa się pełno odbitek przeróżnych autorów, które wcielone do zbioru sztychów podrzędne tam i niewłaściwe dla siebie zajmują stanowisko. Powinny one być ztamtąd wydzielone przez znawcę akwaforty.

Znalazłyby się w takiej kollekcji niezmiernie rzadkie okazy, gdyż artyści przez oszczędność w wydatkach, jedną i tę samą blachę kilka razy do swoich prac używali. Po odbiciu kilku egzemplarzy dawali miedzianą płytę do zgładzenia rysunku i do ponownego wypolerowania powierzchni i na niej inne rzeczy kreślili.

(Dok. nast.)

LATARNIK

HENRYKA SIENKIEWICZA i SEWERYNY DUCHIŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

Drugi ustęp nowelli, w którym Sienkiewicz przedstawia Skawińskiego jako latarnika w Aspinvall, odtwarza z nadzwyczajną prawdą stan jego duszy: czuje się on wreszcie szczęśliwym otrzymawszy upragnioną posadę, z nią bowiem uzyskuje spokój i zapomnienie. Pod wpływem samotności traci siedmdziesięcioletni starzec powoli świadomość o całym świecie, staje się zupełnie obojętnym na wszystko. Nawet nostalgja opuszcza go powoli.

Jeżeli dwa pierwsze ustępy „Latarnika" wykazują nam dosadnie, w jaki sposób Sienkiewicz przerobił i umotywował psychologicznie zwykłą notatkę dziennikarską i o ile ze swej strony uwydatnił charakter Latarnika, to ustęp trzeci, w którym przedstawione jest przebudzenie Skawińskiego, tem silniejsze jeszcze musi budzić wrażenie. U Horaina przysłano Siellawie powieść Kaczkowskiego *Murdellio*, u Sienkiewicza przysyła polskie towarzystwo w New-Jorku *Pana Tadeusza*. Zmianę tę w autorach nazwać trzeba nadzwyczaj szczęśliwą zwłaszcza, że Murdelio, jakkolwiek jedna z lepszych powieści Kaczkowskiego, nie jest znowu arcydziełem tego rodzaju, by mogła sprawić tak wielkie wrażenie na

czytelniku, a przytem jeszcze jest dzisiaj powieścią niemal zupełnie zapomnianą. O ile prawdopodobniejsze, że Skawiński pod wpływem przepięknej inwokacji w *Panu Tadeuszu* zapomniał o całem otoczeniu, swych obowiązkach, przeniósłszy się myślą do kraju rodzinnego.

Siellawa, pozbawiony służby znienawidził od tego czasu książki, każdego nieprzyjaciela nazywał „Murdelio“, przysłanie zaś książek uważał za intrygę. Jakżeż inaczej znowu przedstawia się Skawiński. Chociaż stracił posadę, drogiej książki przecież nie znienawidził. Przed starcem otwierały się nowe drogi tułactwa, nieszczęśliwy latarnik szedł jednak w świat z otuchą, z oczyma błyszczącemi. „Na nowe zaś drogi życia miał na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie aby mu i ona nie zginęła“.

Zakończenie nowelli jest mistrzowskie — kontrast wywołany wskutek rozbudzonej na nowo tęsknoty za krajem, a straszną rzeczywistością wyzyskany przepięknie. Co za straszna ironia losu! Właśnie ta książka, która go wróciła cudem na ojczyzny łono, pozbawiała go posady, jako portu pożądanego spoczynku i wyrzucała znowu na świat nieczuły na jego cierpienia. Może to ojczyzna zagniewała się na niego, że był czas, w którym tak zżył się z samotną skałą i tak zobojętniał na wszystko, iż się w nim i tęsknota za krajem poczęła zacierać. Może tę świętą ojczyznę za mało za te zapomnienia przepraszał — może za tę obojętność miał odpokutować w ten sposób, gdyż ojczyzny zapomnieć nie wolno.

Lecz cokolwiek jest przyczyną tej nowej miary w jego położeniu, on nie szemrze — z dziwnem poddaniem się przeznaczeniu udaje się na nową tułaczkę — dodaje mu jednak otuchy miłość ojczyzny, która wypełnia znów całe jego jestestwo, każe mu wierzyć, ufać i nie tracić nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Odtąd będzie mu ona jego gwiazdą przewodnią, ona nie dozwoli mu zwątpić — odtąd będzie dla niego puklerzem obronnym jego mowa rodzinna, taka kochana, taka droga, taka śliczna.

Dr. Wiktor Hahn.

(Dok. nast.)

Baszta prochowa i... Archiwum miejskie.

(Ciąg dalszy.)

A właśnie przestrzeń, leżąca w promieniu armat baszty prochowej, stanowiła istną achillesową piętę obronnego Lwowa. Bo już o parę kroków tylko sterczał szereg wyniosłych wzgórz, dominujących nad basztą i jakby umyślnie usypanych na stanowiska baterji nieprzyjacielskich. Za tymi wzgórzami unosił się Wysoki zamek, który słabo zwykle broniony, lub w chwilach trwogi nawet opuszczany, dawał wodzom nieprzyjacielskim wyborny punkt obserwacyjny, skąd nie trudno było dostrzedz fortyfikacje miasta i klasztoru Karmelitów, te ostatnie bardzo słabe i łatwe do zdobycia. Klasztor stanowił niejako zaporę zewnętrznej furty bosackiej, wybitej w wale miejskim na wprost schodów klasztornych, za którą znajdowała się, obok ludwisarni miejskiej, druga furta, wewnętrzna na wprost wieży cerkwi wołoskiej, którędy skręcało się do ulicy ruskiej i rynku. To też każdy wódz armji oblężniczej począwszy od Chmielnickiego, a skończywszy na Karolu XII. tutaj upatrywał najsłabszy punkt fortyfikacj miejskich i zdobycie klasztoru Karmelitów uważał za klucz do furty bosackiej i do samego miasta.

Klasztor więc w mowie będący i nieszczęsna furta bosacka, wybita w r. 1643 mimo energicznego oporu władz miejskich, mieściły w sobie zaraz od początku zarzewie tragedji, która w r. 1704 zamknęła erę świetności i sławy starego Lwowa. Jeżeli zaś miasto nasze, mimo takiej wady strategicznej wytrzymało trzy piekielne oblężenia, to obok dzielności swoich obrońców i wielu innych warunków, zawdzięczać to może także strzelnicom baszty prochowej, z których sypiący się grad kul i żelaza zawsze skutecznie wstrzymywał rozpęd ataków nieprzyjacielskich.

Wówczas jednak, kiedy nie wykończona ostatecznie baszta wzięła pierwszy chrzest ogniowy, nie było jeszcze klasztoru Karmelitów, ani furty bosackiej, a stoki wzgórz sąsiednich obsypane były winnicami mieszczan lwowskich. U stóp „szpiklirza“ szemrał gliniany wodociąg, prowadzący wodę do sąsiednich Dominikanów, a cały Lwów rozbrzmiewał echem ponurej tragedji, która się w tym klasztorze właśnie rozgrywała.

Było to w r. 1559. Przed natarczywemi zalotami Łukasza Górki, schroniła się nieszczęsna Halszka z Ostroga, wraz z matką swoją Beatą, aż do

klasztoru lwowskich Dominikanów, a ten zamieniony w doraźną fortecę i zaopatrzony w najemną załogę gotował się na powitanie ogniem gwałtownego konkurenta, zamyślającego zbrojną ręką wziąć pannę i zaprowadzić ją do ołtarza. W wojennych tych zalotach popierały Górkę polskie rody możno władców, którym powolny Zygmunt August wydał staroście lwowskiemu nakaz, aby przemocą brał dziewczynę i wydał ją znienawidzonemu mężczyźnie, a z nią razem i olbrzymie włości książąt Ostrogskich.

Halszka jednakowoż, za którą już leżał trup innego konkurenta Dymitra Sanguszki, oddała swą rękę potajemnie Semenowi księciu na Słucku. Nic to jednak nie pomogło. Starościńska załoga Wysokiego Zamku, rozpoczęła formalne oblężenie klasztoru Dominikanów, od strony właśnie baszty prochowej, a nie mogąc go szturmem zdobyć poprzecinała rury wodociągowe i w ten sposób zmusiła załogę Ostrogskich do poddania się.

Nieszczęsna Halszka, więziona przez czas pewien na Wysokim Zamku, zmuszona została ostatecznie do małżeństwa z Łukaszem Górką, ale też wkrótce zmarła z żalu i tęsknoty za prawowitym małżonkiem.

Tak więc odrapana rudera na Wałach gubernatorskich łączy się wspomnieniem z najznakomitszymi rodami w Polsce, Ostrogskich i Sanguszków i z wspomieniem dramatu miłosnego, który złamał życie kobiety.

Ale baszta prochowa obok tego jedynego w swoich dziejach romansu, ma cały szereg wspomnień bohaterskich, łączących się z wojenną historją Lwowa. Patrząc na jej mury, brudne od starości i zaniedbania, nie podobna się oprzeć wrażeniu, że baszta owa, to ostatni liść wawrzynu, który wiekopomną ongi chwałą otaczał radę i mężów i lwowskie pospólstwo, a teraz uschły i porzucony w rupiecie, na pozór żadnych wspomnień u ogółu nie budzi, żadnych uczuć... to ostatni przyblakły promień aureoli, w którą już nikt zda się patrzeć nie chce, ani się w blasku jej ogrzać...

A jednak! Kiedy po sromotnym pogromie piławieckim w r. 1648 cała lwowska kotlina zapełniła się czernią pułków Chmielnickiego i Tuhajbeja, kiedy niechybna groziła zguba nietylko miastu naszemu, ale i całej Rzeczypospolitej, baszta prochowa spełniła swoje zadanie, a jej obrońcy swój obowiązek.

Wówczas baszty prochowej, broniła piechota zaciągu miejskiego — stu dwudziestu czterech ludzi pod wodzą kapitana Sebastjana Adersa. Wał po lewej stronie baszty obsadzili Ormianie, po prawej stronie bronili go żydzi, na murach zaś i basztach stały cechy i mieszczanie. Zaraz w pierwszych dniach oblężenia Chmielnicki na białym koniu wyjechał na „Strzelczą górę“ (dziś pałac arcybiskupi) aby upatrzyć dogodny punkt do ataku. Spostrzeżono go natychmiast z baszty prochowej, a wystrzelona w tę stronę przez rajcę Ubaldyniego kula z hakownicy, omal go trupem nie położyła. Nazajutrz wojska kozackie zajęły klasztor Karmelitów i rozpoczęły gwałtowne bombardowanie wału i baszty prochowej. Obrona odpowiedziała na to ogniem z hakownic muszkietów, Ormianie zaś gwałtowną palbą z janczarek. Skutek był taki, że zdobywcy opuścić musieli klasztor, pod który natychmiast ze strony miasta podłożono ogień i spalono go doszczętnie.

W czasie drugiego oblężenia Lwowa w r. 1655 przez Chmielnickiego i generała moskiewskiego Buturlina, z baszt na dzisiejszym placu Strzeleckim, z wieży wołoskiej cerkwi i ze strzelnic baszty prochowej, ostrzeliwano skutecznie ataki moskiewskiej piechoty na Wysoki Zamek, broniony mężnie przez Grotusa.

I trzecie ciężkie oblężenie Lwowa przez Turków pod wodzą Kapudana baszy w r. 1672 wytrzymała z honorem baszta prochowa, której bronił na czele zaciężnej piechoty mieszczanin Ferdynand Lechner.

Współczesne relacje opowiadają, że w nocy na 28 września 1672 Turcy na wzgórzu za klasztorem Karmelitów, a przed winnicą (a więc gdzieś w dzisiejszej ulicy Kurkowej) usypali szańce, skąd półkartaunami walić poczęli z jednej strony do baszty bernardyńskiej, z drugiej zaś strony do baszty prochowej „z niemałym uszczerbkiem tych baszt obydwu“. Kanonada trwała przez cały dzień następny. Turcy usypali nowy szaniec, tym razem bliżej, na wzgórzu karmelickiem i już leźli na wały, ale gwałtowny ogień z baszty prochowej wstrzymał ich atak.

W latach następnych baszta prochowa, jest dwa razy jeszcze wspomniana w aktach i to w związku z daleko sięgającymi planami Jana Sobieskiego, który przygotowując w latach 1684 — 1691 wyprawę na Turka, za radą generała artylerji koronnej Marcina Kątskiego, obrał Lwów jako główny skład amunicji. Wówczas to baszta prochowa zapełniła się materjałem wojennym, który jednak po śmierci wielkiego króla poszedł na inne cele i rozsypał się tak samo, jak i wielkie plany obrońcy chrześcijaństwa. W baszcie tej również były przez

czas jakiś przechowywane trofea zwycięstwa pod Chocimem.

Tymczasem nadszedł tragiczny dla Lwowa rok 1704 i najazd szwedzkiego Karola XII. Miasto wierne Augustowi II. gotowało się do obrony, a komendant Lwowa, wojewoda kaliski Franciszek Gałecki, razem z generałem Kamińskim stanęli kwaterą w baszcie prochowej, przy której umieścili chorągiew węgierskiej piechoty, t. z. koruczów, ludzi do wojny niesposobnych, a do tego wszystkiego i strzelbę przestarzałą mających.

Karol XII. z Wysokiego Zamku dostrzegł natychmiast, ze zwykłą u siebie bystrością, że kąt między furtą bosacką a basztą tworzy tak zwany w fortyfikacjach „martwy kąt", który z innych punktów nie może być należycie strzałami broniony.

W przededniu katastrofy, nad ranem 6. września wojewoda Gałecki zasnął twardo w baszcie, a tymczasem po zdobyciu klasztoru Karmelitów, w którym bohaterską śmiercią legli porucznicy Hening i Wąsowicz, Karol XII — jak powiada współczesny świadek kanonik Józefowicz — na czele spieszonych dragonów, sam skoczył w fosę pod parkan przy baszcie prochowej, sam granat najpierwszy rzuciwszy, na kwatyr i dywizję Ich M. Panów gubernatorów uderzył. Rzucali Szwedzi gęste bardzo granaty z góry od Karmelitów z przed kościoła, inni z flint ognia *sine intermissione* z góry tejże Bosaków, do parkanów bliskich, jako do celu dawali. Mieszczanie swego kwatyru pilnując i ordynansu żadnego nie mając, sukkursu dać nie mogli i co się na kwatyrze p. Gubernatora działo, nie wiedzieli, zwłaszcza, że ciemna noc wszystko taiła. Strzelili raz z muszkietów swoich korucy i z pobliskich miejsc, osobliwie z murowanego beluardu odstrzeliwali ludzie miejscy z armat tak dalece, że przecie raz od parkanu odskoczyli nazad Szwedzi. *Capta urbe*, powiadali to sami Szwedzi, że gdyby byli powtórną strzelbę uczuli, zaraz by byli szturmować przestali... Widząc jednak Szwedzi, zmieszanych już na wałach ludzi... drugi raz za królem swoim pod parkan między furtą a basztą prochową w jednym, w drugim przy Prochowni ku beluardowi, w trzecim przy moście do furty prowadzącym — trzema traktami razem się rzucili, granaty gęsto ciskając i z flintów strzelając... i tak o *deploranda sors* mizernego już teraz Lwowa, gwałtem się na wały wcisnęli.

Po zdobyciu miasta Szwedzi spalili gontowy dach nad basztą i całą basztę ogromnie zdezelowali. W roku 1706 jednak miasto zrestaurowało ją na nowo kosztem 4758 złp. do czego przyczynił się Kanclerz W. k. ks. Lubomirski kwotą 1800 złp. synowie zaś hetmana Jabłonowskiego darowali pozostałą z budowy pałacu Jabłonowskich dachówkę, która do dnia dzisiejszego pokrywa basztę prochową.

Bezpośrednio przed zaborem austrjackim przemieszkiwali w baszcie prochowej generałowie moskiewscy, konsystujący we Lwowie, w r. 1772 zajął ją rząd austrjacki, któremu służyła początkowo na skład saletry, potem na magazyn mundurów, aż do roku 1895, w którym baszta prochowa drogą kupna z powrotem przyszła w posiadanie miasta.

Fr. Jaworski.

(Dok. nast.)

Złamana oś.

— Siedmdziesiąt dziewięć roków, rachuje sobie, a jakże... bez mała do stówki dochodzi... ale wolałby człek już oczy zamknąć i nie poniewierać się po świętej ziemi.

— Przezco niby życie mi się przykrzy? Proszę łaski pana, staremu zawsze źle, bo ostaje się tak sam jeden między ludźmi, jak na ten przykład, jak ów bocian, co go ostawią, kiedy lecą w ciepłe kraje. Poumierali ci, syćko poumierało, co za moich czasów było dobre państwo, co ja u nich po dworach sługiwał i dziękować Bogu miał słowo dobre i chleba kawał. A no! poumierało to syćko. Tera ludzie są inni. Nierozumiejący tego, co dawniej było.

— Na ten przykład, ja byłem furmanem, przez 65 lat. 65 lat z końmi miałem do czynienia, a służyłem potem, już nie za parobka, ale za stangreta, i jeździłem ho! ho! jakiemi końmi!... Panie Święty!... dziś tu, ani nie widzą takich koni, ani nie wiedzą jak do nich zachodzić, a już człowieka tyrają i powiadają: nie zdolny!

— Niby o mnie tak mówią te fijakry zazdrośne, co toby rade każdego utrącić, aby im chleba nie zabierano... Tak, ja potem także za fijakra służył, u takich, co trzymają fijakry i choć to już nie było z końmi porządnymi do roboty, ale zawsze był człek przy koniach i jeździł. Wiedzą oni przeciek, że jak człek nawyknie do czego, to to jemu najlepsze. Tak mnie jeno furmanka.

— Ale stało się raz.

— Zamówił fijakra jakowyś młody, piękny pan, na drogę, w las... a kazał jechać straszennie prędko. Czy go tam do jakiej panny rwało, czy go niesło złe jakie, któż tam wi — ale jeno ciągle prędzej i prędzej. Konisko było stare, dychawiczne, na lewą nóżkę nie mocne... poganiam co mogę, ale rady nie dałem, pan wyzywa, pogania... spieszy i spieszy, aż wreszcie porwał lejce sam i jedzie.

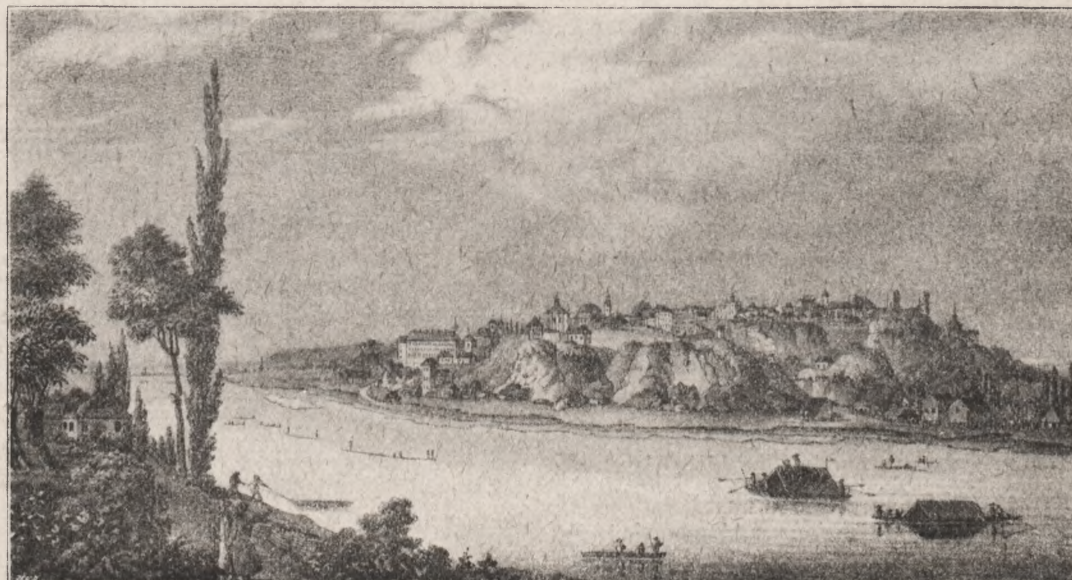
— Chryste Jezu!... co on robi? myślę sobie, — nie skręci tu dobrze, bo widzę zdaleka, że źle zajechał, ale on pędzi — trzask! wywalił — oś się złamała.

— Co ja się już nieraz najadłem, że się pojadę gdzieś, niby zagadam do karego i bicz wezmę w rękę.

— Ot co! Pońdę tam, gdzie fijakry stoją i abo konia obczyszcze, abo dorożkę obmyję, abo sprzątnę za koniem i niby zdaje się człowiekowi lżej na świecie.

— Jak trafię na poczciwego furmana, tak rzuci za to abo szóstke, abo 6 grejcarów... a jak z pięciu sześciu dadzą po parę grejcarów, starczy na kawałek chleba.

— Czasem się i gdzie taki nadarzy, co da w rękę, z litości. A jakże, kiedyś to, jakowyś pan, młody, zdatny pan, kiwnął na fijakra, ja tu zaźre, drzwiczki od karetki z błotem. Pospieszyłem i otar-



„POD TRZECIEGO KRÓLA": SANDOMIERZ.

— A tak proszę łaski pana, od tej osi całe moje nieszczęście. Pan sobie poszedł dalej, ja się wracam powoli do miasta. Mój pan, co fijakry trzyma, dopiero na mnie.

— A taki z ciebie furman? A tak ty umiesz jeździć? A myślisz że ty jeszcze fjakrem być dalej?...

Co nieszczęścia i kłopotu, niech Bóg broni! Za złamaną oś odciągnął mi z pensji 26 zł. i oddalił mię zaraz z miejsca — ostałem się już dziad.

— Któż weźmie już do służby, albo do roboty człowieka, co ma 79 roków?

— Żadnej roboty nie ma, ale też i żadnego życia niema. Komoruje prosze łaski pana, przeżywie sie byle czem, a tak każdego rana zbieram sie, bo niby człeka do koni ciągnie, niby zdaje mi łem, a on, Boże litościwy! rzucił mi koronę! Niech mu Bóg nagrodzi stokrotnie!

— Tak chodzę co dzień do fijakrów, to na Batorego ulice, to na Basztową, to na Podwale, jeno jeszcze i to muszę uważać. Czasem sie taki policaj nawinie, co chyta i kce prowadzić. Pytam sie: Proszę pana policaja, za co mnie pan chyta, nic złego nie robie, ja stary furman, ja nie takiemi końmi jeździł, ja woził państwo bardzo wielkie, ja nigdy nie wywalił.

— Tak mówie, aż mi na myśli staje złamana oś... Od niej syćko nieszczęście na mnie przyszło! Od niej, już mnie od koni oddalili, od niej już ja za niezdatnego.

— Ja sie nie boję, choćby tam i policaj zaprowadził do policji, znają mnie jeszcze za jakich dyrechtorów ja jeździł? jeszcze za Englisza ywało

nieraz, jak przy remizie byłem, to jeno się cugle ściągło, jeno biczem...

W tej chwili urwał starowina — wytężył wzrok — słucha... wreszcie poczyna niecierpliwie machać ręką...

— Et! co tam! myślałem, że wołają na mnie goście — zapomniałem, że ja już nie mam fijakra... konia... bicza....

Odszedł przygarbiony i począł czyścić konia fjakierskiego, który spocony z kursu powrócił.

A ja odchodząc, myślałem: Jak to rozmaite wypadki łamią oś i potem już się nie toczą koła równo, już się wszystko wywraca i psuje zupełnie... Złamana oś — to nieszczęście życia. Biedni ci, którzy naprawić jej nie umieją!

Jan Świerk.

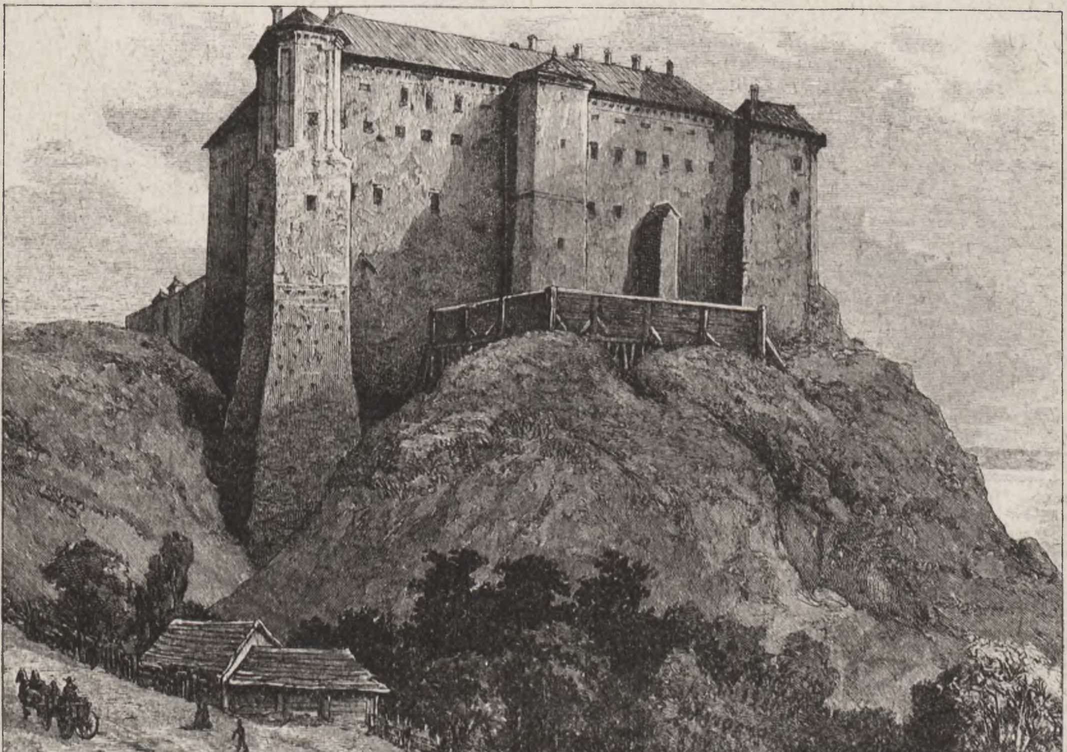
Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Radbym widział ową rękawiczkę królowej Jadwigi, ów zamek króla chłopów, który szwedzi za Jana Kazimierza zrujnowali, a do reszty kochani austrjacy w r. 1809 zburzyli.

Daniela i Romana to samo zrobili, zamordowawszy w zdradliwy sposób wodza Sandomierzan, Piotra Krempę. Jak pisze Długosz, co niewycięli biednego ludu, to go spychali z wysokiego brzegu do Wisły, czego pamiątkę, jak pisze Święcicki, corocznie obchodzono.

Piękny ratusz, przypominający nieco Sukiennice, mogłem tylko z wody obserwować. W zamku, który



ZAMEK W SANDOMIERZU.

Chciałoby się pomodlić u grobu bł. Wincentego Kadłubka, który tu czeka sądu ostatniego w katedrze przepysznej.

Tu to, w r. 1240 dzicz tatarska miasto złupiła, a ludność wymordowała, tu znowu r. 1259 ci sami, przybrawszy do pomocy książąt ruskich, Wasilka,

szwedzi r. 1656 wysadzili w powietrze z 2-ma tysiącami polskich wojaków, są dziś aresztа.

Strach, jak człek pomyśli, jak biedni byli nasi przodkowie. Napracowany przy pańskiej robocie położył się jaki taki w chruścianej kuczy na barłogu, by nabrać sił do jutrzejszego jarzma, a tu ci go

nagle w nocy budzi piekielny okrzyk: Ałła hu! Twoja spisz, moja chorujesz, pody twoja do Ordy, budema się dobro miety, na kobylini budem kasze używaty, a posoku końskoju z mołokom pity *) i wiązali to niby bydło i pędzili w straszną dośmiertną niewolę. I dziś są ludzie, którzy piszą, że „nasi ojcowie byli od nas szczęśliwsi.“

Brzeg Wisły za tem miastem jest spadzisty czarnoczerwonej barwy, jakby od tej krwi serdecznego ludu, której tu tyle wytoczono.

Późno w noc usłyszałem głos, jęczącego w jedną stronę dzwonu. Płynął on wspaniale po falach Wisły, alem się napewno nie mógł dopytać na jaką to pamiątkę. Jedni twierdzili, że to za dusze tych, co się w Wiśle potopili, a drudzy, że to za dusze króla Warneńczyka i w ogóle poległych pod Warną **)

*) Ks. Jan Wereszczyński. Dużo Tatarów umiało po rusku mówić, dlatego i ta straszna pobudka z ruska była nieraz głoszona — jak z tego widzimy.

**) Jak czytam w znakomitem piśmie „Wisła“ podobne dzwonienie 9 razy w jedną stronę było w zwyczaju i po innych miastach. Czytamy tam, że dzwoniono w Chełmińskiem, i w Kazimierzu nad Wisłą. W ostatnim, czyniono z polecenia ks. bis. Woronicza za poległych pod Warną. Czy to trwa dotąd, nie wiem.

W Zawichoście podpisano nam znów pasporty i mogliśmy wejść do miasta. Stara i to siedziba, zaledwo milę od Sandomierza, jego smutne losy dzieliła a pamiętna tem, że tu w r. 1205 pobili nasi Romana, księcia ruskiego.

Wtedy kiedy i Sandomierz przez Tatarów spalony, podniesiony nieco przez Bolesława Wstydliwego, który tu w r. 1259 kościół i klasztor fundował.

Pod Zawichostem, roi się Wisła od berlinek i statków parowych, które do rozpaczy orylów przywodziły, jako, że im odbierają zarobek.

Byłem tylko w jednym kościele, który w r. 1828 z dobrowolnych składek został zrestaurowany, drugi był zamkniony. Na obydwa te kościoły jest zaledwo jeden ksiądz. Wartoby, aby X. Stojałowski na oczy mógł widzieć, co tu kultura „braci moskalów“ porobiła. Lud tutaj dorodny a serdeczny, a mieszczaństwo jeszcze nie tak zżydziałe jak u nas.

Nie wiem na jaką pamiątkę, w grobach murowanych na cmentarzu robią mały otwór, którym trumnę można widzieć.

Jakób Bojko.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Jan Lemański: Colloquia, albo Rozmowy. Lwów. Nakład Tow. Wydawniczego. Warszawa — Księgarnia S. Sadowskiego 1905.

Tematy stare. Ale rzeczą poety jest stare rzeczy odmładzać, tworzyć na wieki młodemi, niewygasłemi od ognia, który płonie w twórcy. Lemański jest poetą. Celu w bajkach dopiął. Jego bajki robią wrażenie żywe, bezpośrednio każą odczuwać i rozumieć swą treść wewnętrzną i piękno. Ogromnie śmiały giest i głębia myśli, bystra spostrzegawczość, powodująca często przesadę i jaskrawość w uzewnętrznianiu duszy zwierzęco-ludzkiej, przedziwna muzyka odpowiedniego słowa (jednak nie zawsze i nie wszędy) — oto cechy przyczyniające się do podniesienia wartości „Colloquiów“ i utrwalenia tejże wartości.

Niniejsza książka dzieli się, na dwie części: *a) Colloquia Locuta, albo Rozmowy mówione b) Colloquia Cantata, albo Rozmowy śpiewane;* w tej drugiej części umieścił p. Lemański drukowaną niedawno w „Chimerze“, świetną tragedję zwierzęcą w czterech aktach z prologiem i epilogiem p. n. „Lwy“. W formie dramatycznej mamy już w naszej literaturze mało znaną „bajdę“ z życia zwierzęcego napisaną przez Al. hr. Fredrę p. t. „Brytan-Bryś.“ (Przed kilku laty wystawiono ją na scenie krakowskiej, przedstawienie jednak nie powiodło się wcale). Sądzę, że i „Lwy“ na scenie nie zrobiłyby tego wrażenia, jakie robią w czytaniu. Wartoby jednak spróbować.

Fel. Gw.

ZAPISKI.

Nazwa Warszawy. Niestrudzony badacz przeszłości naszej średniowiecznej prof. Piekosiński zapowiada większą książkę o początkach Warszawy, a na razie tłumaczy pochodzenie nazwy samej „Warszawa.“ W kwestji tej zabierali już głos poprzednio Stanisław Sarnicki (1585), ks. Chmielowski (1754), Albertrandy (1809) Łukasz Gołębiowski (1825), Fr. Kurowski (1840), Fr. M. Sobieszczański (1867), i Jan Karłowicz (1882). Domniemania były różne, a największem uznaniem cieszyły się wywody lingwistyczne Karłowicza, który nazwę Warszawy wyprowadził od imienia własnego Warcisław, skróconego na Warsz, (podobnie jak Krasimir na Krasz) w przeciwieństwie do poprzednich autorów, którzy tę nazwę wyprowadzali od czeskiej rodziny Werszowców, która miała Warszawę założyć. Kimby miał być ów Warsz, ustalony przez ś. p. Karłowicza, nie wiadomo — przypuszcza jednak Bronisław Chlebowski, że był to jeden z przedsiębiorczych Pomorzan, inni zaś historycy znajdywali ślady rodziny Warszów w pobliżu Warszawy, a nawet w samemże mieście. W przeciwieństwie do tego wraca prof. Piekosiński do teorji poprzednich, twierdząc, że imię Warsz — jest używane w dobie piastowskiej jedynie przez ród Rawiczów, przez żaden inny. Rawicze zaś to Werszowcy czescy. Bliższy rozbiór i uzasadnienie tej teorji zapowiada prof. Piekosiński w wydać się mającem niebawem dziele o początkach Warszawy.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego, we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.